

**Va Banque**  
**[Wiedźma], [Slice of Dark]**  
**autor: Malvagio**

Letnie słońce nad Manehattanem okrywała coraz głębsza czerwień, zwiastująca zbliżający się wielkimi krokami zmierzch. Okolica bram miejskich, jeszcze przed niecałą godziną przypominająca prawdziwe mrowisko, teraz powoli pustoszała. Wrota już wkrótce miały zostać zamknięte, kto chciał wejść do miasta lub je opuścić, zapewne zdążył to zrobić lub postanowił zaczekać na świt.

Młoda, rudopióra gryfka, obserwująca okolicę z niewielkiego gruzowiska, skrzywiła się, wyraźnie rozczarowana. Przez cały dzień nie doczekała się niczego, a raczej nikogo interesującego; szperanie w gruzie również było bezowocne. Zanosilo się, że dzisiejszą noc będzie musiała znieść z burczącym brzuchem.

– Niech to szlag – mruknęła do siebie, chwytając łapą jeden kamieni, by rzucić nim o mur i dać upust frustracji.

– Hej, ty, sikoreczko! – Usłyszała nagle, wstrzymując swój zamach.

Zawołanie zupełnie ją zaskoczyło. Wszyscy wołali na nią po prostu „Gryfka”. Nikt nie myślał o wykazywaniu się kreatywnością przy nazywaniu nastoletniego dzieciaka z ulicy, jeśli już w ogóle zwrócił na nią uwagę.

Zaskoczenie szybko przerodziło się w nieufność, gdy zorientowała się, że postanowił zaczepić ją jakiś obszarpaniec w ubłoconym płaszczu podróżnym. Kaptur uniemożliwiał jej dokładniejsze oględziny oblicza, ale zarys pyszczka i ogólna budowa ciała wskazywały, iż zwraca się do niej kuc; głos natomiast sugerował klacz.

– Jak szukasz sikoreczki, znajdź se burdel – Gryfka z ukosa spojrzała na przybyłą, podejrzewając, że należy do grona lubieżników odwiedzających Manehattan w poszukiwaniu młodej „zdobyczy”. – Nie jesteś w moim typie – dodała, dopiero w tej chwili dostrzegając miecz przypasany do boku rozmówczynie. Oręż sprawiał wrażenie zadbanego, ale jednocześnie bardzo często używanego.

Zakapturzona nieznajoma parsknęła, po czym pogrzebała w płaszczu i rzuciła w stronę rudopiórej złotą monetę, która upadła na ziemię koło jej przednich łap.

– A ty w moim, ptaszynko. Szukam informacji, a wyglądasz mi na dość bystrą, więc może ubijemy interes? Ten pieniążek ma chyba jeszcze kolegę, wiesz...

Oczy Gryfki wręcz zalśniły na widok dukata; błyskawicznym ruchem podniosła go z ziemi i wsadziła do dzioba. Metal był zimny i twardy, dokładnie taki, jaki powinien.

– Legitna! – stwierdziła radośnie. – To co chcesz wiedzieć, szefowo?

– Szukam... fachowca. – Nieznajoma przybliżyła się o krok. – Takiego, co zna się okultyzmie... znaczy na klątwach i podobnym syfie – wyjaśniła w reakcji na niewypowiedziane pytanie – a o którego nie mam co pytać tych tam. – Kopytem wskazała na pełniących straż gwardzistów. – Ponoć mieszka tu taki.

Rudopióra nie odpowiedziała od razu, miast tego podgryzając jeszcze kilkakrotnie monetę. Wiedziała, o kogo chodzi, ale zastanawiała się, czy aby na

pewno powinna wskazywać drogę komuś, kto paraduje w kapturze i z takim mieczem. Ostatecznie jednak doszła do oczywistego wniosku, że w zasadzie to nie jest jej sprawa. Co innego burczący brzuch i moneta, która na pewno chciała znów zobaczyć się ze swoim przyjacielem.

– No to szukasz Wujaszka Toperka – odparła w końcu, zniżając głos do szeptu. – Zamelinował się w jednej z opuszczonych ruder przy samym nabrzeżu. Jak trafisz na taką z wydrapanym gackiem na drzwiach, jesteś w domu. – Podrapała się po policzku. – Wali od niej czosnkiem, jak żeś jest choć trochę ogarnięta z węchem, szefowo, idź za jego smrodem.

– Znajdę go, dzięki za pomoc – mruknęła zakapturzona, po czym wygrzebała z płaszcza kolejną monetę. Tym razem nie rzuciła jej, a podsunęła na wyciągniętym kopycie.

Gryfka błyskawicznym ruchem chwyciła dukata, zanim jednak zdołała cofnąć łapę, została pochwycona przez równie szybko wysunięte pierzaste skrzydło. Nieznajoma była najwyraźniej pegazem.

– Co jest! – zaprotestowała rudopióra, próbując wyrwać kończynę; klacz trzymała jednak mocno.

– Spokojnie, wróbelku, to tylko przyjacielska przestroga. Jeśli mnie okłamałaś, pogawędzimy sobie jeszcze raz. Nie kłamałaś, prawda? – parsknęła, by następnie drugim skrzydłem ściągnąć z głowy kaptur, ujawniając grzywę barwy miedzi i, co ważniejsze, żółtawe oczy o pionowych źrenicach.

Gryfka mimowolnie zadrzała. Wiedziała, do kogo musi należeć takie spojrzenie.

– Nie, pani wiedźmo – zapewniła. – To sama prawda.

– Świetnie. – Klacz uśmiechnęła się pokrętnie, rozluźniając jednocześnie swój uścisk. – No to jeszcze raz dzięki i trzymaj się, mała. – Po tych słowach pegazka ruszyła w labirynt uliczek.

Rudopióra przez chwilę odprowadzała ją wzrokiem, przygryzając otrzymane monety. Niezupełnie tego się spodziewała, ale jednak nie dało się zaprzeczyć, że do Manhattanu przybył ktoś *interesujący*. Za wiedźmami zawsze ciągnęły kłopoty, a to oznaczało, że na tej informacji mogła jeszcze zarobić.

Jugacze<sup>1</sup> z gildii musieli się o wszystkim dowiedzieć.

– Będzie dym – mruknęła do siebie, by następnie zaskrzeczeć radośnie i pobiec w stronę jednego z zaułków, rozplywając się w cieniu.

\*\*\*

Karczma „Pod Wesołą Baryłeczką” nie wyróżniała się niczym szczególnym. Serwowane w niej trunki i jadło nie należały do szczególnie wyszukanych, ale też nie można ich było nazwać podłymi. Klienci nie wszczynali olbrzymich burd, ale też nie zawsze zachowywali się potulnie jak zakonnicy. Sam gmach – o ile zupełnie

---

<sup>1</sup> Zawodowi złodzieje (slang złodziejski).

przeciętny budynek mógł zasługiwać na tak zaszczytne miano – wznosił się nieopodal jednego z mniejszych manehattańskich rynezków, w pewnej odległości od głównych ulic, ale wciąż wystarczająco blisko, by znalezienie go nie nastęczało trudności. Krótko mówiąc – była to gospoda zupełnie przeciętna, przybytek, którego raczej się nie zapamiętywało.

I właśnie dlatego gildia złodziei wybrała ją na swoją siedzibę, izbę na zapleczu zaś na swój prywatny klub.

Wśród przebywających w środku kamratów panowało niemałe poruszenie. Nad alkoholem szeptano gorączkowo o zbliżającym się końcu zawodów, w których stawką było przewodniczenie gildii po nagłej i gwałtownej śmierci jej poprzedniego mistrza, wciąż jeszcze otrzepującego pantofle na dyndówce<sup>2</sup> w centrum miasta. Formuła konkursu miała zagwarantować, że stanowisko zawsze będzie zajmował najlepszy spośród najlepszych, ale tym razem niewielu spośród kamratów radoowało się na myśl o nadchodzącym rozstrzygnięciu rywalizacji. Szeptom towarzyszyło w większości bezradne zgrzytanie zębów.

Dash, aktualny lider klasyfikacji, zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, ale jednocześnie nie zaprzętał sobie tym głowy. Całą swoją uwagę koncentrował w tej chwili na rozgrywanej właśnie partyjce gwinta. Do zagrania pozostały już mu dwie karty, przy jedynie jednej przeciwnika... która mogła się okazać prawdziwie paskudna. Ruch należał do niego; od podjętej w tej chwili decyzji mógł zależeć los całego pojedynku. Obliznął nerwowo wargę, po czym odruchowo przejechał pierzastym skrzydłem po grzywie, zaczesując ją do tyłu.

– No dobra, raz matka rodziła! – obwieścił w końcu, rzucając kartę na stół. Zdecydował się podjąć ryzyko.

Jego oponent, chudy i żylasty kuc ziemny, przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu, po czym skrzywił się, obnażając przy tym zęby. Przykrył własną talię kopytem, co oznaczało kapitulację.

– Kantujesz, Dash – mruknął, rzucając zwycięzcy niewielką, acz miło brzęczącą sakiewkę. – Nie wiem, *jak* to robisz, ale *wiem*, że kantujesz.

– Hehehe, po prostu mam to coś. – Pegaz zaśmiał się nerwowo, zaglądając przy tym do otrzymanego mieszka. Do uciechy uszu dołączył również jej odpowiednik dla oczu. – Co poradzę, niektórzy to mają, inni nie!

– Taaa... – Kuc ziemny zgarnął swoje karty i podniósł się z siedziska, ale nie odszedł od stolika. Zamiast tego nachylił się ku drugiemu ogierowi i szepnął jadownicie słodziutko: – A gdzie było to „coś”, gdy musiałeś pożyczać forszę z Las Pegasus, co?

Dash uśmiechnął się głupekowato, ale nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, jego rozmówca już zmierzał w kierunku baru, chichocząc złośliwie pod nosem. Pegaz westchnął ciężko i lekko drżącym skrzydłem przetarł spocone czoło. Musiał przyznać przed samym sobą, że nie potrafił zrozumieć kamratów. Owszem, z przymusu

---

<sup>2</sup> Otrzepywać pantofle na dyndówce – zostać powieszonym (slang).

siedział w kieszeni Miasta Hazardu, ale cóż było takiego złego w zacieśnianiu współpracy między gildiami? Interesy to interesy.

W końcu każdy miał jakieś długi do spłacenia.

– Patrioci się, kurwa ich mać, znaleźli... – mruknął, zakrywając pysk kuflem. Nie powiedziałby, że trunek poprawił mu humor, ale też na pewno go nie pogorszył. Po oblizaniu ust z piany ułożył je ponownie w nieco krzywy uśmiezek. – No co tam, sztamacy<sup>3</sup>, może ktoś jeszcze skusi się na partyjkę, mmm? – zawołał dziarsko, wodząc wzrokiem po pomieszczeniu.

Nie napotkawszy pozytywnego odzewu Dash westchnął raz jeszcze, po czym – nie znajdując dla siebie bardziej produktywnego zajęcia – zaczął ćwiczyć karciane sztuczki, kiwając się przy tym na krześle. Po paru chwilach kątem oka dostrzegł, że odzwierny wpuścił do środka jedną z andrusek<sup>4</sup>, Gryfkę, oraz jeszcze kogoś, kto przyciągnął uwagę pegaza znacznie mocniej. Za młodą rudopiórką na zaplecze wkroczyła bowiem błękitna jednorożka o wypielegnowanej grzywie, dzięki której nie sposób było ją pomylić z nikim innym.

Blue Velour. Jego bezpośrednia konkurentka w rywalizacji o przywództwo.

Klacz spostrzegła go od razu i ruszyła ku zajmowanemu przezeń stolikowi krokiem emanującym pewnością siebie i gracją.

– Witam, witam gwintownika – rzuciła na powitanie, zajmując miejsce po drugiej stronie blatu, ale nie dosiadając się.

– Siemasz, Blue – odparł, szczerząc zęby. – Masz ochotę przegrać z przyszłym mistrzem?

Jednorożka zachichotała, zasłaniając usta kopytem.

– Oj, Dash, Dash... zbyt sobie schlebiasz. Nie jesteś dla mnie równym graczem. Za wysokie progi.

– Ranking mówi co innego, kocha... – Pegaz urwał w pół słowa i niemal spadł z krzesła, gdy zobaczył, co jednorożka nonszalancko rzuciła na stolik, uśmiechając się przy tym paskudnie.

Na odrapanych deskach spoczywał teraz złoty naszyjnik z wygrawerowanym herbem patrycjuszowskiego rodu. Łup wspaniały, drogocenny i jedyny w swoim rodzaju... a zarazem uważany za niemożliwy do zwinięcia, czego ponurym przypomnieniem był los, jaki spotkał Starlight, poprzedniego złodziejskiego mistrza. Nie wspominając już nawet o porażce, jakiej ogier sam doznał w tym przedsięwzięciu.

– Ranking chyba odrobinę się zmieni, „kochany” – zakpiła Blue. – Śmiało, możesz sprawdzić, jest prawdziwy.

Pegaz nie potrzebował dodatkowej zachęty, ale jego oględziny – najdokładniejsze, jakie tylko mógł przeprowadzić – potwierdziły jedynie autentyczność drogocennej biżuterii.

– Jak... jak to zrobiłaś? – wykrztusił z trudem.

---

<sup>3</sup> Poważani złodzieje (slang).

<sup>4</sup> Andrus – nieletni złodziej (slang).

– Mam swoje sekrety. – Velour znów zaniósła się śmiechem, po czym niemal wyrwała naszyjnik z kopyt pegaza i uniosła go wysoko, trzymając w magicznym uchwycie. – Błatniacy<sup>5</sup>, dzisiaj nie będziemy klękać przed Las Pegasus!

Złodziejska brać zaczęła wiwatować i niemal zaciągnęła jednoróżkę pod szynkwą, gdzie wszyscy zaczęli prześcigać się w stawianiu kolejek nowej bohaterce. Dash został sam ze swoimi myślami, a nie należały one do najweselszych. Był skończony; rywalizacja miała zakończyć się już dzisiaj o północy, a do przebiccia łupu Blue potrzebował prawdziwego Wyczynu. Nie miał szans, by go dokonać, chyba nic w całym Manehattanie nie mogło się równać z patrycjuszowskim medalionem.

„Ale jak ona to zrobiła, do cholery?!” – spytał raz jeszcze, tym razem jedynie we własnych myślach. Velour zawsze odznaczała się tajemniczością nawet jak na złodziejskie standardy – nikt nie miał pojęcia, skąd właściwie wyłynęła nagle w półświatku – ale to przekraczało już wszelkie pojęcie.

Ogier przełknął głośno ślinę. Jego wierzyciele nie będą zachwyceni, spłacić mógł ich tylko w jeden sposób, a ten właśnie chyba wyślizgnął mu się z kopyt. A to znaczyło, że musiał uciekać... Las Pegasus rzucało jednak naprawdę długi cień. Nie miał pomysłu, gdzie mógłby się udać.

To nie wróżyło dobrze jego nogom i skrzydłom.

Do rzeczywistości przywołało go głośne chrząknięcie, sugerujące, że ktokolwiek próbował zwrócić na siebie jego uwagę, czynił to już od jakiegoś czasu. Dash zorientował się, że dosiadła się do niego Gryfka, stukająca pazurem o blat stolika.

– A ja coś wiem! – zaświergotała, najwyraźniej ucieszona, że jej wysiłki przyniosły wreszcie jakiś rezultat. – Coś, co może ci jeszcze uratować ligary<sup>6</sup>.

Pegaz, doskonale świadom, że nie otrzyma tej informacji za darmo, bez słowa sięgnął do sakiewki i wygrzebał z niej złotą monetę. Andruska spojrzała na nią z dezaprobatą, po czym zagarnęła ją do siebie i pokręciła głową, cmokając przy tym ze smutkiem.

– A opłata za pierwszeństwo? To świeży, gorący towar, masz szansę poznać go przed innymi.

Dash poczuł, jak tężeje mu pysk, ale nie zaprotestował, oferując informatorce kolejnego dukata. On również znalazł się szybko pod pazurzystą łapą, ale nie zmieniło to nijak wyrazu dzioba rudopiórej.

– Wiesz, biorąc pod uwagę, żeś w potrzebie, mogłabym naliczyć ci je...

– Nie przeginaj, Gryfka! – Ogier prychnięciem dał upust irytacji.

Pół-orlica przez moment bawiła się monetą, przekładając ją pomiędzy pazurami, ostatecznie jednak przywołała na swoje oblicze uśmiezek. Gestem nakazała ogierowi, by nachylił się ku niej, a następnie sama uczyniła to samo.

---

<sup>5</sup> Patrz – sztamacy.

<sup>6</sup> Nogi (slang).

– No niech będzie, ale tylko dlatego, że cię lubię, szefie – szepnęła. – Do miasta przybyła pegazka-wiedźma, ledwie paręnaście minut temu, sama widziałam!

Pegaz powoli przeciągnął skrzydłem po swoim pysku.

– No i co mi z tego, Gryfka? Ani Velour nie jest poczwara, którą mogłaby dla mnie sprzątnąć, ani mnie niespieszno stawać przed dintojrą<sup>7</sup> za złamanie kodeksu. W krawacie byłoby mi pierońsko nie do twarzy... – Skrzywił się, by zaraz potem zamrugać intensywnie kilka razy, gdy obróciły się trybiki w jego głowie. Coś właśnie do niego dotarło. – Zaraz, zaraz, wiedźma, mówisz? One mają te swoje fikuśne medaliony, c'nie? – spytał, choć doskonale znał odpowiedź.

– Zaczynasz chwytać, szefie! – Gryfka filuternie pokazała mu język. – Wisiorek za wisiorek. Jak nie drefisz<sup>8</sup>, to wybierała się do Wujaszka Toperka. Na pewno jeszcze ją złapiesz przed północą. – Podrzuciła monety, zręcznie chwytając je na nowo. – Przyjemnie się z tobą robi interesy, ale czas na mnie, nie chcę się spóźnić na schadzkę z kolacją.

Jako że reszta złodziejskiej braci wciąż była skupiona wokół nowej liderki rankingu, Dash ponownie znalazł się sam na sam z własnymi myślami. Tym razem galopowały one jak szalone... jakże adekwatnie do przedsięwzięcia, którego dotyczyły.

Wiedział, jakie czekało go ryzyko, gdyby się zdecydował. Nie musiał odznaczać się godnym geniusza intelektem, by stwierdzić, że mutantka stworzona do walki z bestiami z pewnością zaliczała się do ścisłej czołówki elektrycznych<sup>9</sup> ofiar. Powiadało się, że wiedźmy cechowały wyostrzone zmysły, a także znakomity refleks i czas reakcji... innymi słowy wszystko, co tylko mogło utrudnić złodziejowi robotę. Nie wspominając już nawet o ostrych mieczach, z którymi się nie rozstawały, a z którymi Dash nie miał zbyt ochoty się zapoznawać.

Próbie takiego wyczynu mógł podjąć tylko szalenciec lub desperat. Pegaz uśmiechnął się lekko i przejechał językiem po zębach. Przypuszczał, iż wszystkie klepki ma jeszcze na właściwych miejscach, ale w drugą ewentualność wpasowywał się jak ulał. Poza tym nie chciał wyjść na gorszego od Velour. Zapracował na swoją pozycję i również mógł dokonać niemożliwego, wiedział o tym. Jeśli ktoś miałby obrobić wiedźmę, to tylko on.

No i jeszcze... naprawdę lubił ostro grać. Zagłuszył wewnętrzny głos, mówiący mu, że to głównie dzięki tej słabości władował się w ogóle w całą tę kabałę. Nie zamierzał drefić, nawet jeśli jego kopyta zaczynały nerwowo drżeć, a na czole powoli perliły się krople potu.

– Raz matka rodziła... – stwierdził, śmiejąc się cicho, jakby dla dodania sobie otuchy. Następnie dopił swój trunek i dla lepszego efektu swoich zamierzeń wskoczył na blat stolika. Z jego wysokości wyciągnął dramatycznie kopyto w stronę jednorożki

---

<sup>7</sup> Sąd złodziejski (slang).

<sup>8</sup> Tchorzysz (slang).

<sup>9</sup> Takich, które ciężko okraść (slang).

i zawołał, wkładając w swój okrzyk wszystkie pokłady własnej brawury: – Gra jeszcze nie jest skończona, Blue!

Wrzawa na chwilę ucichła, a zgromadzony wokół złodziejki tłum rozstąpił się, pozwalając rywalom spojrzeć na siebie. Choć dzieliła ich niemal cała długość pomieszczenia, pegaz i tak był w stanie dojrzeć, a może wyczuć, kpiarski uśmieszek, jakim obdarzyła go klacz.

– Zejdź na ziemię, Dash. – Velour postanowiła nie ruszać się ze swojego miejsca i jedynie przekrzywiła głowę na bok, spoglądając na ogiera niczym na pociesznego cudaka z cyrku. – Możesz sobie włożyć na meble, ale progi i tak będą za wysokie.

Rozległy się śmiechy, które pegaz – z trudem – puścił pomimo uszu. Zripostował kpinę butą i sam zbliżył się do jednorożki, nie opadając przy tym na ziemię.

– Inaczej zaśpiewasz, gdy ten dzień dobiegnie końca – obwieścił, w przenośni i dosłownie spoglądając na rywalkę z góry. – Do miasta przybyła wiedźma... i klnę się na moje karty, że do północy przyniosę tutaj jej medalion! – Dla podkreślenia wagi swych słów uderzył kopytem o stół jednorożki.

W sali na parę chwil zapadła kompletna cisza, która w końcu ustąpiła miejsca nieśmiałym szeptom. Deklaracja Dasha wyraźnie zbiła z pantafelów wszystkich, włącznie z samą Velour.

– Pierdzielisz. Nie jesteś aż *tak* głupi – stwierdziła klacz, krzywiąc się przy tym, co zdradzało, że sama do końca nie wierzy we własne słowa.

– Oj, Blue, głupota nie ma tu nic do gadania, przecież mnie znasz. – Pegaz puścił filuternie oko. – Wszyscy mnie znacie! Jest ryzyko, jest zabawa, c'nie?! – zawołał, wodząc spojrzeniem po całym pomieszczeniu.

Złodzieje odpowiedzieli niewyraźnym pomrukiem, z którego dało się wyłowić jednak zgodę. Dash poprawił grzywę, niepostrzeżenie ocierając też czoło z uwidaczniającego się coraz mocniej potu. Balansowanie na krawędzi istotnie stanowiło część jego stylu i istotnie podobała mu się adrenalina z tym związana, ale nie znaczyło to, że nie odczuwał przy tym żadnego lęku.

Inni jednak nie musieli o tym wiedzieć.

– Nie pozwolę ci odebrać mojej pozycji, Blue. – Ponownie zabrał głos, tym razem przywołując w swym tonie nuty ostre i stanowcze. – Zbyt wiele kosztowało mnie jej zdobycie.

Velour jeszcze przez chwilę przyglądała mu się z niezmiennym wyrazem pyszczka, ostatecznie jednak znów przywołała nań charakterystyczny dla siebie drwiący uśmieszek.

– Jeśli chcesz tańczyć z mutantką, droga wolna – stwierdziła słodziutko, odwracając się od ogiera, dając do zrozumienia, że dla niej rozmowa jest już skończona. – Wrócisz z podkulonym ogonem albo wcale, w obu przypadkach jedynie poprawisz mi humor.

Dash skłonił się z przesadnym, dworskim manieryzmem – bardziej dla publiki, jako że odwrócona grzbietem jednorożka nie mogła tego zauważyć – i leniwie poruszając skrzydłami podleciał do drzwi wejściowych. Nim przekroczył próg, spojrzął raz jeszcze na Velour i resztę gildii, ale nie powiedział nic, jedynie zacisnął mocno zęby. Nawet nie próbował szukać dla siebie szitefa<sup>10</sup>, wiedział bowiem, że nikt nie zgodzi się mu pomóc, niezależnie od tego, ile zaoferowałby w zamian. Nie w takiej robocie i nie jemu.

Kątem oka spostrzegł, że Gryfka pomachała do niego radośnie z nad pełnego talerza; to nieco rozluźniło mu szczękę. Cóż, takie wsparcie, choć mikre, było zawsze lepsze niż żadne.

– Zobaczycie... wszyscy zobaczycie... – mruknął do siebie, po czym mrugnął porozumiewawczo do młodej andruski i wyślizgnął się na zewnątrz przez ledwie uchylone drzwi.

\*\*\*

Po znalezieniu się w zaułku na tyłach gospody Dash pozwolił sobie na głęboki oddech przez nos. Grymas na jego pysku zdradzał zafrasowanie. Owszem, decyzja została podjęta już nieodwołalnie, ale stanowiło to jedynie pierwszy, tak naprawdę najłatwiejszy krok. Bo cóż z tego, że naprawdę gotów był podwędzić medalion wiedźmy, jeśli wciąż nie wiedział, *jak* właściwie powinien się do tego zabrać? Potrzebował planu, a zarazem nie bardzo miał czas na jego ułożenie. Szybkie spojrzenie na ciemne niebo zdradziło, iż słońce już skryło się za horyzontem lub miało uczynić to dosłownie lada chwila. Dni wciąż jeszcze były długie, a to znaczyło, że od północy dzieliło go ledwie parę godzin.

Musiał się spieszyć.

Jako że planowanie czegokolwiek w ciemnym zaułku miało się z celem, ogier wzbil się do lotu, zostawiając pod sobą większość miejskich dachów. Chłodniejsze, a przede wszystkim świeższe powietrze podziało na niego orzeźwiająco, umożliwiając złodziejskiemu umysłowi na rozwinięcie tempa. Uwaga Dasha skoncentrowała się na okolicy nabrzeża, gdzie znajdowała się melina Wujaszka Toperka; mógł dotrzeć tam w ledwie parę chwil, na pewno wyprzedzając wiedźmę, która – nie znając jej dokładnej lokalizacji – musiała poruszać się pieszo.

Było to nie tylko oczywiste, ale też po prostu całkiem dobre miejsce do tego, by się na nią zacząć. Z wysokości złodziej dostrzegał co najmniej kilka przywoitych ścieżek, którymi mógłby uciekać, jeśli kradzież zostałaby przez mutantkę dostrzeżona. Westchnął ciężko; nie, „jeśli” nie było tu właściwym słowem, nadzieja na nie dźwięczała fałszem; *kiedy* – niestety tylko taka ewentualność wchodziła w rachubę. Miał ochotę uczynić to ponownie, gdy dotarło do niego, że zgodnie z opisem Gryfki, wiedźma miała skrzydła, co może jeszcze nie wykluczało zupełnie

---

<sup>10</sup> Wspólnika (slang).



najprostszej drogi ucieczki, ale na pewno przekręcało już powoli zamek w jej drzwiach.

– Że też to musi być pegazka... – mruknął do siebie Dash, by następnie zapikować w kierunku upatzonego miejsca; pozwolił sobie przy tym na wykonanie ekwilibrystycznego salta w powietrzu dla lepszego rozruszania skrzydeł.

Był szybki i zwinny, jak na złodzieja przystało, ale czy wystarczająco, by prześcignąć wiedźmę w przestworzach? Obawiał się, że podczas ucieczki będzie musiał oprzeć się głównie na znajomości miasta, jego uliczek i niemal labiryntowych zakrętów.

Po wylądowaniu w pobliżu śmierdzącej czosnkiem siedziby Wujaszka (i szybkim sprawdzeniu, czy się nie pomylił i drzwi na pewno oznaczone są symbolem nietoperza) pegaz nadstawił uszu. Z wnętrza rudery nie dobiegały żadne dźwięki, co poświadczało, że istotnie zdołał wyprzedzić swoją ofiarę. Uśmiechnął się, drapiąc jednocześnie policzek kopytem. Chwilowo pozostawało mu jedynie czekać, dalsze prace nad przebiegiem delikatnej „operacji” mógł przeprowadzić dopiero po dokładniejszej obserwacji samej wiedźmy.

„Trza się ździebko wtopić w otoczenie” – pomyślał, rozglądając się po najbliższej okolicy. Obawiał się, iż wygląda odrobinę zbyt przyzwoicie, by z powodzeniem odgrywać żebraka, a że zanurkowanie w pobliskiej stercie śmieci (oraz kompostu, jak wnosił po zapachu, nie do końca tłumionym przez czosnek) było mu wybitnie nie w smak, ograniczył się jedynie do wygrzebania z niej kilku opróżnionych butelek. Następnie, z bolącym sercem, ukrył wśród odpadków swoje juki z klawiaturą<sup>11</sup> na wypadek pojawienia się w okolicy kogoś, kto mógłby chcieć połasić się na ich zawartość. Przy sobie pozostawił jedynie dwa łatwe do ukrycia sztylety, służące do rzeźnięcia mieszkańców i jako ostatnia linia obrony.

Dash miał naprawdę ogromną nadzieję, że nie będzie musiał wykorzystywać ich w tym celu.

– Pijany doker raz – stwierdził cicho, układając się wraz z butelkami pod jedną ze ścian w taki sposób, by mieć oko zarówno na drzwi Wujaszka, jak i na schowane fanty.

Musiał czekać, więc czekał... czując jak narasta w nim napięcie, jak rodzą się kolejne wątpliwości, dotychczas powstrzymywane działaniem. Znał je dobrze. Nie potrafił ich od siebie odegnąć, choć doskonale wiedział, że nie ma już odwrotu. Wszystko albo nic.

Gdzieś ponad nim zamiauczał smętnie jeden z zamieszkujących nabrzeże bezpieczeństwa kocurów. Dachowiec wszedł w rolę mimowolnego herolda, ponieważ w tej samej chwili u wylotu alejki pojawiła się samotna postać. Nowoprzybyła przez chwilę stała w miejscu, pociągając nosem, niczym pies łowiący trop. Dash od razu rozpoznał w niej wiedźmę; nie tylko ze względu na zachowanie, ale też miecz przypasany do boku i jarzące się lekko w gęstniejącym półmroku żółtawe oczy.

---

<sup>11</sup> Złodziejski sprzęt (slang).

Klacz w końcu ruszyła w głąb zaułka, stawiając sprężyste kroki. Nie zaszczyciła ogiera nawet odrobiną uwagi, lecz od razu przystąpiła do sprawdzania drzwi kolejnych rozsypujących się ruder. Złodziejaszek wykorzystał tę chwilę, by złowić spojrzeniem jej medalion; obito mu się niegdyś o uszy, iż przedstawiały one różnego rodzaju bestie czy potężne stworzenia, ale nie był w stanie rozpoznać kształtu tego konkretnego naszyjnika. Tym jednak się nie przejmował; o wiele bardziej irytował go fakt, iż umykał mu ważniejszy dlań szczegół.

Chcąc nie chcąc, musiał zwrócić na siebie jej uwagę.

– Szukaszysz Wujaszka, hik, panienko? – wymamrotał, imitując pijacki bełkot najlepiej, jak potrafił; jego plan się powiódł, wiedźma spojrzała na niego z odrazą, a to umożliwiło mu lepsze oględziny. – To tu-tururu-tutaj! – Wskazał właściwe drzwi.

W myślach natomiast przeklinał cały świat, wynajdując przy tym najwyszukańsze złorzeczenia. Medalion wisiał na łańcuszku, a nie rzemieniu, co wykluczało szybkie i proste odcięcie go sztyletem. Musiał go zdjąć w całości.

Oczywiście łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić.

Wiedźma w międzyczasie bez słowa zbadła zasugerowaną jej chałupę i odwróciła się do Dasha raz jeszcze, marszcząc przy tym pyszczek.

– Dzięki – rzuciła krótko, szykując się wyraźnie do zapukania.

– Szos za... za fatygę? – Ogier wyciągnął kopyto, choćby i po to tylko, by nie wyjść kompletnie z roli. Drobne zrekompensowanie sobie pieniędzy, które zdarła z niego Gryfka byłoby jednak całkiem miłym bonusem. – Na chleb oszywiście...

– Tobie już wystarczy pieczywa, pysiu. – Klacz prychnęła, nie kryjąc pogardy. – I popracuj nad kolejnością, po co mam ci płacić *teraz*? I to za coś, co i tak bym za chwilę znalazła?

„Zołza!” – przemknęło Dashowi przez myśl, ale nie ośmielił się powiedzieć tego na głos. Zamiast tego jedynie machnął kopytem i z udawanym trudem dźwignął się na nogi, pozorując kłopoty z utrzymaniem równowagi.

– No dobsz... wiem, kiedy mnie nie chcą! – ryknął, po czym czknął głośno i powoli, chwiejnie, ruszył ku wylotowi zaułka.

Nim zdążył przejść choć trzy kroki, do jego uszu dotarło głośne pukanie, a po chwili skrzywienie otwieranych drzwi i głos wiedźmy.

– Wujaszek Toperek... czy tak...? – W prostym pytaniu zadźwięczała silnie nuta niepewności.

Dash z trudem stłumił wzrastający mu w piersi chichot. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, co tak zdezorientowało zabójczynię potworów. Gotów był postawić każdą sumę, że oczekiwała spotkania z kucem nietoperzowym, a nie ziemnym; wszyscy zawsze tego się spodziewali. Ale któż mógł przypuszczać, że Wujaszek swoje miano wywodził nie od rasy, a faktu, iż krył oblicze za smoliście czarnym gackiem, wymalowanym na białym pysku?

Pierwsze spotkanie z nim pozostawało w pamięci już na zawsze.

– Ohohoho, wiedźma! – Pegaz usłyszał nieco skrzekliwy głos. – Chimera, zgadłem? Interesujące, tak, tak, interesujące! Dobrze trafiłaś, zapraszam, moje drogie dziecko, zapraszam!

Dźwięk zamykanych na nowo drzwi stanowił dla złodzieja sygnał do porzucenia roli pijanego dokera; odczekał jeszcze moment, po czym jednym, błyskawicznym susem dopadł sterty śmieci i wygrzebał z niej swój sprzęt. Z nieskrywaną ulgą przyjął fakt, iż juki nie zdążyły jeszcze przesiąknąć smrodem. Spojrzał na zamknięte drzwi; przypuszczał, że wiedźma nie spędzi u Wujaszka więcej niż godziny, ale i tak oznaczało to konieczność uzbrojenia się w cierpliwość. Tym razem jednak, gdy lepiej zbadał zarówno medalion, jak i jego właścicielkę, mógł poświęcić czas na opracowywanie dokładniejszego planu.

Pierwszy element już wykrystalizował mu się w umyśle; zamierzał dopaść mutantkę na zewnątrz, chyba że jego szacunki miałyby okazać się błędne.

– Oby nie – stwierdził na głos Dash, wykrzywiając pysk, jak gdyby zjadł właśnie coś kwaśnego. Nie uśmiechało mu się włamywanie do sadyby Toperka.

Pegaz wzdrygnął się mimowolnie, po czym rozłożył skrzydła i przeniósł się na dach rudery, lądując na nim miękko i bezszelestnie. Tutaj mógł spokojnie pomyśleć i nie obawiać się, że zostanie przez kogokolwiek zaskoczony. Może nawet byłby w stanie podsłuchać rozmowę, jaka toczyła się wewnątrz? Chcąc się o tym przekonać, ostrożnie położył się, przykładając ucho do jednej z licznych drobnych szczelin między deskami. Nim jednak zdążył złowić choć słowo, poczuł, że coś wskoczyło mu na grzbiet, zadając kłam jego przekonaniu o całkowitym bezpieczeństwie. Wiedziony odruchem ogier podskoczył, niemal wierzgając nogami i zrzucił z siebie tajemniczego agresora. Okazał się nim być... najzwyczajniejszy kot, pręgowany dachowiec.

Zwierzak nie sprawiał wrażenia obruszonego niezbyt miłym powitaniem i znów zbliżył się do pegaza, tym razem miaucząc i ocierając się o jego nogi. Dash westchnął z ulgą i pogładził go skrzydłem po łebku. Kocur zamruczał, wyraźnie ukontentowany.

– Cześć, mały – szepnął niemal bezgłośnie złodziej. – To ty wcześniej dawałeś znać, że nadchodzi wiedźma, co?

Dachowiec znów zamiauczał, jakby chcąc potwierdzić przypuszczenia ogiera, po czym usiadł i zaczął lizać jedną ze swoich przednich łapek. Nie spuszczał go przy tym ze swoich dwukolorowych, złoto-srebrnych oczu.

– Świetna robota – wypalił Dash, zanim zdał sobie sprawę z tego, co właśnie robi. Rozmawiał z *bezpańskim kocurem*. Poczuł się głupio, ale jednocześnie nie był w stanie powstrzymać się od dodania: – Możesz tu zostać, tylko nie wskakuj tak na mnie więcej, dobra?

Kolejne miauknięcie, jakby zgoda. Pegaz wzruszył skrzydłami; koty były ponoć całkiem inteligentne, może jemu akurat udało się trafić na prawdziwego geniusza? Nie zamierzał teraz roztrząsać tej kwestii, zamiast tego znów ułożył się na dachu, by podsłuchać rozmowę toczącą się poniżej. Na szczęście wszystko wskazywało na to,

iż wywołane przez pręgowanego futrzaka zamieszanie nie wzbudziło podejrzeń mutantki i Wujaszka.

– ...nie, nie, nie, za moje usługi nie chcę pieniędzy, wiedźmo-Chimero. – Złodziejaszek musiał wyęźać słuch, by dobrze rozumieć tłumione przez deski słowa. – Inną walutę przyjmę, tak, tak, tak. To, co skrywasz tutaj.

Na kilka chwil zapadła cisza; Dash domyślał się, że ogier ziemny musiał coś wskazać, ale siłą rzeczy nie miał pojęcia, co takiego. Pierwsza myśl przywołała na jego pysk lekki rumieniec, ale nie sądził, by Wujaszкови chodziło o zapłatę „w naturze”. Takie praktyki na pewno rozniosłyby się po mieście, przyciągając uwagę lujów<sup>12</sup>.

– Ech, do rzeczy, gacusiu, nie jestem w nastroju na zgadywanki. – Wiedźma mówiła o wiele głośniejsze od swojego rozmówcy i łatwiej było ją zrozumieć. – Jeśli liczysz na opis tego czym i jak mnie szprycowali, to...

– Chodzi mi o *ciebie*, moje dziecko. O sekrety twojej duszy, myśli i emocje... tak, wiem, podobno jesteście na tym polu dosyć, że tak powiem, jałowe, ale ja w to nie wierzę, nie, nie. Wystarczy, że porozmawiamy sobie przez chwilę, nie za długa sesja, a potem powiem ci, co wiem na interesujący cię temat, umowa stoi? – Łowczyni musiała odpowiedzieć gestem, jako że po paru długich sekundach, Toperek zapiszczał wręcz: – Doskonale! Ułóż się wygodnie na leżance i zaraz zaczniemy...

Dalsza część rozmowy poniżej musiała być prowadzona ciszej, Dash przestał bowiem słyszeć dobrze jej treść. Łowiąc pojedyncze słowa, mógł jednak mniej więcej monitorować sytuację; to mu odpowiadało. Choć ciekawiło go, jakie sekrety mogłyby wyjawiać wiedźma, pierwszeństwo ciągle miało opracowanie dokładniejszego planu.

Myśli złodziejaszka galopowały jak szalone, ale niestety, ku jego zgrzyocie, wynikało z nich niewiele. Wszystkie scenariusze rozbijały się o konieczność zdjęcia całego medalionu. Jakie miał opcje? Wykorzystać krótką, grubą pałkę, jaka spoczywała bezpiecznie w jego jukach i działać na bombę<sup>13</sup>? Nie lubił tej metody, powątpiewał też, czy zdołałby gładko pozbawić mutantkę przytomności, jej głowa zapewne nie takie ciosy już przyjmowała. Nieudana próba tylko by ją rozjuszyła i skończyłaby się zapewne ostrym i bolesnym kontratakiem. Ta komplikacja eliminowała też możliwość zrzucenia na nią z wysokości czegoś ciężkiego, cegły, dachówki lub donicy... to rodziło jednak zupełnie nowy problem; potraktowane w ten sposób ofiary często traciły nie tylko przytomność, ale i życie. Wiedźma mogła mieć twardą czaszkę, ale czy na pewno wystarczająco? Gildia krzywo spoglądała na członków, którzy tak spaprali robotę. Dash nie chciał nawet myśleć o karze, jaka by go spotkała, gdyby i on nawalił.

Ta gra nie była warta świeczki, nawet przy jego zamięłowaniu do ryzyka.

Pegaz mechanicznie, niemal bez udziału świadomości, znów pogłaskał kota, który wiernie dotrzymywał mu towarzystwa. Myśli skierował ku swojej dymnej

---

<sup>12</sup> Sutenerów (slang).

<sup>13</sup> Podkraść się i pozbawić ofiarę przytomności za pomocą ciężkiego przedmiotu (slang).

petardzie, ale znów nie był zadowolony z rezultatu, jakie przyniosły mu rozważania. Owszem, mógł na chwilę zdezorientować wiedźmę, ale wolał zachować ten gadżet na czas ucieczki, mógł mu wówczas uratować skórę w sytuacji już całkowicie beznadziejnej.

Co mu jednak pozostawało? Co? Co? CO?! Kolejne scenariusze, jakie układał podczas mijających minut, stawały się prawdziwym amalgamatem pomysłów prostackich i kompletnie oderwanych od rzeczywistości. Na czole złodzieja znów coraz mocniej zaczynał perlić się pot; liczył na jakieś objawienie, które nadeszłoby w ostatniej chwili, a tymczasem...

– WYSTARCZY! – Dash, będąc już kłębkim nerwów, znów niemal zerwał się z dachu, gdy z wnętrza rudery dobiegł ryk wiedźmy; cokolwiek powiedział lub o co zapytał Wujaszek, musiało to doprowadzić jej krew do wrzenia. Złodziejaszek nadstawił uszu. – Wystarczy. Powiedziałam ci dość, łapiduszku, teraz wywiąż się ze swojej części umowy.

– Już, już, spokojnie... – Głos Toperka brzmiał pojednawczo. – Ta, o którą pytasz... to istota pamiętająca jeszcze czasy *prawdziwych* monarchów. W Las Pegasus otoczona jest nieświadomym, jak sądzę, kultem. Niemądrzy, tsk, tsk, niemądrzy. Nosi wiele imion, Felicja, Golden Clover, Fortuna...

– Dobrze, ale *czym* ona jest? I jak można się jej *pozbyć*?

Do uszu Dasha dobiegł niemal szaleńczy chichot ogiera. Sam złodziej natomiast musiał przyznać, że poczuł się zafascynowany, zwłaszcza wzmianką o Las Pegasus i ostatnim wymienionym mianem. Fortuna. To słowo rzeczywiście w Mieście Hazardu padało niebywale często, także z jego ust, nigdy jednak nie przypuszczał, że ktoś się za nim kryje, ktoś jest *wzywany*.

„Przydałoby mi się teraz takie wsparcie” – pomyślał, oblizując spierzchnięte usta. Postanowił posłuchać więcej.

– Och, tego nikt nie wie na pewno, nawet ja, choć badałem ją i to namiętnie, tak, tak – stwierdził Toperek. – Podejrzewam, że jest Chaosem... lub jego odpryskiem, który, hm, hm, hm... powiedzmy, iż się *dostosował*. A co do pozbywania się... źle, oj, źle się do tego zabrałaś, dziecko ty moje drogie. Interesując się nią, przyciągniesz tylko jej uwagę. Tak, jak ja.

– Coś ci zrobiła?

Kolejny atak śmiechu. Dasha zaczynały od niego przechodzić ciarki.

– Przysyła mi co jakiś czas kosze z owocami. Niekiedy zsyła doprawdy niesamowite przypadki. Nie mogę narzekać na nudę i podejrzewam, że wiesz, o czym mówię, hehehe. – Ogier zamilkł na dłuższą chwilę. – Nie myśl, że to ktoś, z kim można stawać w szranki, kogo możesz przebić mieczem raz, a dobrze. Chaos jest. Po prostu to zaakceptuj.

– Zastanowię się. – Zimny ton łowczyni mógł wskazywać na wiele rzeczy, lecz niekoniecznie na to, iż rzeczywiście tak postąpi. – Wolałabym usłyszeć co innego, ale dzięki za pomoc, Wujaszku.

– Do usług, moja droga, do usług! Jeśli zechcesz jeszcze kiedyś wziąć udział w sesji, nie krępuj się! Odprowadzę cię do drzwi...

Pegaz poczuł, jak języ mu się grzywa na karku, wiedźma zakończyła swoją wizytę u Toperka, a on wciąż nie opracował żadnego sensownego planu! Serce łomotało mu w takim tempie, iż niemal wrywało mu się z piersi. Pod wpływem takiej presji zazwyczaj spływało na niego jakieś objawienie, być może zsyłane właśnie przez tajemniczą Fortunę, ale tym razem miał w głowie pustkę. Siedzący obok niego kocur zdawał się przyglądać mu z rozbawieniem, musiał zatem powoli odchodzić od zmysłów...

Dash wstrzymał oddech i również spojrzał na zwierzaka. Kot. Przez cały ten czas był tu kot. Trybiki w jego głowie znów zaczęły się obracać. Być może wcale nie potrzebował *sensownego* planu, może niecodzienny wyczyn wymagał niecodziennych metod.

– Wiesz co, kiciu, chyba możesz mi pomóc... – szepnął; jedna z jego powiek zadrgała nerwowo. Kątem oka zauważył, że wiedźma nie tylko opuściła już ruderę, ale zmierzała do wyjścia z alejki.

Dachowiec zamiauczał i przekrzywił głowę na bok, wyraźnie zainteresowany. Dash ostrożnie podniósł go z ziemi, dziwiąc się nieco, że futrzak pozwolił mu na to bez żadnych obiekcji.

– Przepraszam za to, co zrobię... – kontynuował; w reakcji na te słowa kot zaczął się wreszcie wrywać, być może przeczuwając, co nastąpi – ale obiecuję, że zostawię ci tutaj jutro jakąś porządną rybkę... – mówiąc to przeleciał kilkanaście metrów, znajdując się mniej więcej nad łowczynią bestii. Wziął głęboki oddech. – Raz matka rodziła!

Kończąc ostatnie słowo swojego motto, złodziejasek wziął zamach i rzucił trzymany kotem w niczego nie podejrzewającą wiedźmę.

Czy sprawił to jej instynkt, wyczulone zmysły, czy czysty przypadek, tego Dash nie wiedział, ale mutantka odwróciła w stronę nadlatującego „pocisku”, przyjmując uderzenie prosto w pyszczek.

– CO JEST DO CIĘŻKIEJ CHOLERY?! – wrzasnęła klacz, próbując uwolnić się od wściekłego i przerażonego kłębowiska futra i pazurów. Dachowiec nie zamierzał jej tego ułatwiać, drapiąc, prychając i miotając się na wszystkie strony.

Rozpętało się prawdziwe mikroskopijne pandemonium. Dokładnie takie, na jakie liczył złodziejasek. Teraz należało je tylko dobrze wykorzystać.

– Pręgusiu, zostaw panią! – zawołał, pikując ku radosnemu chaosowi. – Pani się nie boi, nie robi pani krzywdy...

– ZABIERAJ GO!

– Tak, tak, tak, oczywiście, już, chodź do mnie, mały, no już, już, pańcio jest tutaj... – trajkotał Dash. Wykorzystując fakt, iż jego mimowolny współnik nie tylko zajmował uwagę wiedźmy, ale też ograniczał jej pole widzenia, zdołał dorwać się do łańcuszka medalionu... i zręcznym ruchem zdjąć go z szyi klaczy. Drugim szybko schował go w jukach.

Serce pegaza wypełniła euforia, ale za wcześnie było na świętowanie – w tej samej chwili kot zeskoczył z głowy łowczyni i, prychnąwszy gniewnie, uciekł w jedną z ciemnych uliczek. Ogier, wiedząc, że jak najszybciej musi oddalić się od swojej ofiary, ruszył za nim. Szczęście uśmiechnęło się do niego raz jeszcze; dachowiec wybrał bowiem drogę, którą sam planował uciekać. Wszystko wyglądało więc na tyle naturalnie, by kupić mu nieco czasu.

– Pręgusiu, wracaj, gdzie biegniesz?! – zawołał Dash. Zachowanie pozorów było w tej chwili niezwykle istotne.

Ze swojej złodziejskiej praktyki wiedział, że zazwyczaj muszą minąć cztery sekundy, zanim „jelen” zorientuje się, że został okradziony. Biorąc poprawkę na to, że tym razem miał do czynienia ze specyficzną zwierzyną, spodziewał się, że ma najwyżej trzy.

Tymczasem już po niecałych dwóch do jego uszu dobiegł pełen wściekłości ryk.

– WRACAJ MI TU, ZŁODZIEJASZKU!

„Cholera, dobra jest!” – pomyślał Dash, odrywając się od ziemi; nie wzniósł się jednak ponad poziom uliczek, po prostu bardziej wierzył swoim skrzydłom niż nogom. Zaryzykował spojrzenie za siebie i zaklął cicho; wiedźma była blisko. Zbyt blisko, jak na jego gust.

Zmuszając się do maksymalnego wysiłku, pegaz mknął po zaplanowanej wcześniej trasie. W założeniach miała mu umożliwić łatwe zniknięcie mutantce z oczu, zmuszając ją do zaprzestania pościgu, ale szybko przekonał się, że nie będzie to jednak takie proste. Niezależnie od tego, w jak ciemne i wąskie zaułki skręcał, jak szybko i gwałtownie to robił, wiedźma nie odpuszczała. Niezależnie od tego, jakie złodziejskie skróty wykorzystywał, czy to przez opuszczone domy, czy sekretne przejścia... wiedźma nie odpuszczała. Nawet gdy wykorzystał swój atutowy gadżet i ukrył się za chmurą gęstego dymu... wiedźma *nadal* nie odpuściła, rozwiewając ją natychmiast jakimś zaklęciem. Może i nie zmniejszyła dystansu, ale na pewno nie pozwalała mu też się powiększyć. Dash niemal dosłownie czuł na karku jej oddech. Była niczym ogar gończy.

– Nie uciekniesz mi, kochasiu! – Do ogiera dotarł kolejny okrzyk, zmuszając go do przełknięcia ciężkiej guli narastającej mu w przełyku. Zaczynał obawiać się, że nie były to słowa rzucone na wiatr.

Chwilę później ledwie zdążył wykonać unik, gdy tuż przed nim zmaterializował się utkany z fioletowej energii krąg. Nie znał się na magii, ale podejrzewał, że to zaklęcie zamknęłoby się na nim, uniemożliwiając dalszy lot lub nawet zupełnie poruszanie się. Teorię tę potwierdziła sama wiedźma, która zaklęła w sposób tak szpetny, że zawstydziłaby nawet najbardziej zdegenerowanego szewca.

Dash zaśmiał się – jedynie w myślach, oddech był mu potrzebny w tej chwili do ważniejszych rzeczy – nerwowo, niemal histerycznie. Im dłużej trwała ta gonitwa, tym mniej przypominała balansowanie na krawędzi, a bardziej taniec na czubku noża... a raczej miecza. Bardzo długiego i ostrego miecza.

Kolejny gwałtowny skręt doprowadził pegaza do jednego z licznych wylotów miejskich kanałów, tworzących zupełnie osobny labirynt, niemal miasto pod właściwym miastem. Ogier nerwowo przygryzł wewnętrzną część policzka; to była dla niego ostatnia deska ratunku, wiedział, że jeśli nie zdoła zgubić wiedzmy tam, nie uda mu się ta sztuka w ogóle. Niestety wiedział również, jak niebezpieczne jest to miejsce. Zdarzało się, że nawet ci, którzy doskonale znali jego cuchnące ścieżki, nie zawsze wracali na powierzchnię.

„Cóż, jeśli zeżarły ich jakieś bestie, mam ze sobą wiedzmy na ratunek” – pomyślał kwaśno, zagłębiając się w mroku rozświetlanym jedynie mdłym blaskiem pochodni. Szybko spojrzął za siebie; mutantka zawahała się przez chwilę, ale koniec końców jedynie dobyte oręza i nie zrezygnowała z pościgu. Oczywiście.

Dash zdołał przelecieć jeszcze kawałek, ale ostatecznie jego skrzydła, nienawykłe do utrzymywania tak morderczego tempa przez tak długi czas, odmówiły mu posłuszeństwa. Chcąc nie chcąc złodziejaszek zaprzął do pracy nogi, zanurzając je w obrzydliwej, szlamowatej wodzie. Do odgłosów pościgu dołączył chłupot, odbijający się upiornym echem po korytarzach. W uszach ogiera dźwięk urastał do niemal ogłuszającego poziomu. Jeśli ktokolwiek lub cokolwiek wrogiego czaiło się gdzieś w pobliżu, wiedziało już o ich obecności.

Jak na razie jedynym zmartwieniem pegaza pozostawała jednak wiedzma. Z mroku przed nim wyłaniały się tylko szczury, niekiedy całkiem sporych rozmiarów, ale wciąż polujące na ofiary mniejsze od niego.

– Zaczyna brakować sił... misiu? – zakpiła łowczyni, nie zdradzając prawie żadnych oznak wyczerpania.

Dash zaklął w myślach. Jak wiele energii mogła jeszcze z siebie wykrzesać? Nie mieściło mu się w głowie, by ktokolwiek był tak nieustępliwy... a wszystko z powodu jednego, głupiego medalionu!

W ten czy inny sposób, gonitwa nieubłagania zbliżała się do końca. Złodziej upatrywał swoją ostatnią szansę w ciężkiej i grubej kracie, która – wedle jego wiedzy – znajdowała się niedaleko i zamykała wylot jednego z korytarzy. Część obsługującego ją mechanizmu już dawno temu przestała działać i teraz przegrodą dało się operować wyłącznie z jednej strony. Tej, która pozwoliłaby ogierowi odciąć mutantce dalszą drogę. Pozostawała tylko mała, acz niezwykle istotna, paląca wręcz kwestia, od której zależało absolutnie wszystko...

Czy zastanie ją podniesioną?

Modląc się w duchu, by tak się stało, Dash wypadł z ciasnego korytarza prosto do ogromnej, okrągłej komnaty, mieszczącej jeden z głównych zbiorników. W oczach zaśniły mu triumfalne ogniki – szczęście mu sprzyjało, krata była otwarta! Sięgając do ostatnich rezerw własnych sił, pegaz zdołał przyspieszyć. Brakowało już tak niewiele... wystarczyło jeszcze tylko przeskoczyć po kamieniach na drugą stronę...

Zanim zdążył zadać sobie pytanie, skąd w kanałach wzięły się nagle tak wielkie głązy, było już za późno. Gdy tylko dotknął jednego z nich kopytem, spokojna tafla zmieniła się w kipiel. Skąły na moment zniknęły pod powierzchnią mulistej wody,



a gdy wypłynęły na nowo, towarzyszyła im reszta potężnego, gadziego cielska, włącznie z wypełnioną po brzegi ostrymi zębami paszczą.

Głazodyl. Dash poczuł, jak z oblicza spływają mu wszelkie kolory. Chyba właśnie zdołał rozwiązać tajemnicę zniknięcia w kanałach.

Bestia wydała z siebie niski, gardłowy ryk, od którego niemal zatrzęsły się ściany, po czym kłapnęła pyskiem, próbując zacisnąć na nim szczęki. Strach okazał się doskonałą motywacją dla skrzydeł, pegaz zdołał bowiem odlecieć kawałek dalej, poza granicę wody. Jako że jednak na nic więcej nie było ich stać, a potwór ewidentnie nie zamierzał tak łatwo rezygnować z przekąski, sytuacja nie uległa niemal żadnej poprawie.

Przerażone spojrzenie ogiera odnalazło wiedźmę, która wpadła do komnaty wkrótce po nim. Sprawiała wrażenie rozbawionej całą sytuacją.

– Niezłego pieszczoszka sobie tu wyhodowaliście – stwierdziła drwiąco, cmokając z miną znawcy. – I po co ci było mnie okradać, hm?

– Pomóż mi! – zawołał Dash, z trudem unikając kolejnego kłapięcia.

– Sama nie wiem... – Łowczyni pokręciła głową. – Muszę się zastanowić. Powinam? Jeśli cię zeżre, na pewno odzyskam swój medalion... taka karma, pysiu – zaśmiała się złośliwie.

W tej samej chwili głazodyl grzmotnął pegaza ogonem, posyłając go na jedną ze ścian. Uderzenie było na tyle potężne, by wycisnąć mu powietrze z płuc i mocno poturbować, ale zdołał zachować przytomność. Jeśli któraś z kości została złamana, adrenalina póki co skutecznie tłumiała ból.

– Medalion! Oddaj mi go! – zawołała wiedźma, podlatując nieco bliżej.

Jak się okazało, był to z jej strony spory błąd. Zaintrygowany nowym źródłem hałasu głazodyl przekrzywił pysk i spojrzał na nią, a w następnej sekundzie znów wydał z siebie potężny ryk. Być może sprawiła to żywiona przez cały potworny rodzaj podświadoma nienawiść do ich pogromczyń, a być może był przekonany, że ogier nigdzie mu już nie ucieknie... niezależnie od powodu, stwór zostawił go w spokoju, miast tego rzucając się na łowczynię.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – zaklęła po trzykroć mutantka, przyjmując pozycję bojową.

Dash zwietrzył swoją szansę i z niemałym wysiłkiem dźwignął się na nogi. Krata. Musiał dotrzeć do kraty. Kroczek po kroczeniu, jeszcze kawałeczek... powoli i szybko zarazem, byle tylko nie przyciągnąć już niczyjej uwagi...

– Ty! Stój! STÓJ, MÓWIĘ! – Krzyk stanowił widoczny znak, że ta ostatnia sztuka mu się nie powiodła. Klacz nie była jednak w stanie oderwać się od walki, co umożliwiło złodziejowi dotarcie do jego własnych, prywatnych bram rajów.

Dźwignia nie stawiała żadnego oporu; przegroda opadła z głuchym łoskotem, odcinając go od wszelkiego niebezpieczeństwa.

– No, to powodzenia, wiedźmo! – Dash spróbował powtórzyć ukłon z gospody, ale obolałe ciało pozwoliło mu jedynie na jego wykoślawioną wersję.

– WRACAJ TU, TY MAŁY...!

Zaborczo domagający się uwagi głazodyl nie pozwolił łowczyni na skończenie epitetu. Pegaz zaśmiał się pod nosem i powoli stawiając coraz pewniejsze kroki, ruszył w drogę powrotną do siedziby gildii. Przedstawiający chimere, jeśli wierzyć Wujaszкови, medalion miło dźwięczał w jego sakwie. Zagrał o wszystko i wygrał, to on będzie nowym mistrzem.

Nie mógł się doczekać chwili, gdy zetrze uśmiezek z pyszczka Velour.

\*\*\*

Ceremonia zaprzysiężenia przywódcy manehattańskich złodziei została zaplanowana na samo południe; kamraci zgodnie uznali, że będzie stanowiło to doskonale uczczenie pamięci jego poprzednika, powieszono go dokładnie o tej samej porze. Dash, wciąż niesamowicie obolały, ale już mniej więcej poskładany do kupy przez opłacanego z kasy gildii cyrulika, zmierzał na nią, pogwizdując wesoło pod nosem. Któż jednak odmówiłby mu prawa do radości? Dzisiaj był jego wielki dzień.

Mimowolnie wrócił myślami do swojego nocnego, triumfalnego powrotu. Do tego, jak początkowo powitały go śmiechy; członkowie gildii, widząc, w jakim stanie przekroczył próg, założyli od razu, że jego zamierzenia się nie powiodły. A wówczas wyciągnął swoje trofeum i dostał dokładnie to, na co tak bardzo liczył. Pełną niedowierzania, ale i szacunku ciszę.

Nie zawiodła także Velour, która niemal odskoczyła jak oparzona od lekko drgającego medalionu, gdy rzucił jej go przed nos. Nie zdecydowała się nawet sprawdzić jego autentyczności, jedynie pogratulowała mu z jadowitą wręcz uprzejmością i opuściła gospodę. Dla pegaza jasne było, że nie potrafiła przegrywać, nie potrafiła znieść faktu, że ktoś okazał się od niej lepszy... i dlatego po prostu uciekła i to z podkulonym ogonem!

„Ciekawe, czy teraz raczy się pojawić...” – przemknęło Dashowi przez myśl, gdy zaczynał pukać do drzwi, wystukując sekretny kod.

Jak się okazało, gdy tylko przekroczył próg, Blue rzeczywiście była obecna; najwyraźniej potrafiła jednak przyznać się do porażki, nie wyglądała bowiem na szczególnie skwaszoną. Podobnie jak u większości zgromadzonych, na jej pyszczku gościł wyraz powagi. Ceremonia nie zasługiwała na nic innego.

– Panie i panowie, oto przybyłem! – stwierdził wesoło Dash. – Możemy zaczynać...? – w jego głosie rozbrzmiała nagle niepewność.

Poczuł, że coś jest nie tak. Szybko zdołał też połączyć to uczucie z tym, jak poważni zdawali się członkowie gildii. Tworzona przez nich atmosfera nie miała nic wspólnego z podniosłością, doniosłością chwili, była niemal... wroga? Pegaz obliznął usta; wiedział, że kamraci nie są mu szczególnie przychylni, ale nie spodziewał się, że posuną się aż tak daleko.

– Witaj – przemówił Sliver, jednorożec pełniący obowiązki przywódcy do czasu wyłonienia nowego. – Skoro już jesteś, to tak, istotnie, możemy zaczynać... Czy

możesz przedstawić medalion, jaki *rzekomo* – pegaz poczuł, jak to jedno słowo zaciska się na jego sercu i gardle niczym szczęki głazodyla – zwinąłeś wiedźmie?

Oczy Dasha rozszerzały się powoli do rozmiarów spodków. Zaczynała docierać do niego, że wcale nie trafił na ceremonię zaprzysiężenia, ale... stanął przed dintojrą!

– Nie rozumiem, o co chodzi, sztamacy... – zaczął, ale Sliver nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie strugaj jura<sup>14</sup>! – warknął. – Masz ten medalion czy nie?

Pegaz odruchowo poklepał się skrzydłem po szyi, ale wiedział, że napotka jedynie pustkę. Zaklął w myślach, ocierając sobie czoło. Nie wziął łupu ze sobą, pozostawił go w jednej ze swoich bezpiecznych skrytek.

– Nie przy sobie, ale *mogę* go przynieść!

W tej samej chwili Blue zaniosta się śmiechem.

– Och, czyżby? – spytała słodziutko.

Dash poczuł, jak zalewa go krew. Nie miał na to dowodów, ale w tej chwili gotów był się zakładać, że jednorozka stała za wszystkim. Znalazła jednak sposób na wbicie mu morderczej szpili!

– Tak! – zawołał, uderzając kopytem o podłogę. – Wyjaśnicie mi wreszcie, o co dokładnie wam chodzi?!

– O to, że widzieliśmy dzisiaj wiedźmę, która przybyła wczoraj do miasta. Razem z jej medalionem. – Sliver położył na te słowa szczególnie silny nacisk. – Wiesz, w jakim stawia cię to światło?

W gardle pegaza zaczęła narastać gęstwa. Zanim zdążył ją przełknąć, by móc wyartykułować jakąkolwiek odpowiedź, głos ponownie zabrała Velour.

– Myślę, że to oczywiste... nie okradłeś wiedźmy, mój drogi, umówiłeś się z nią, by pożyczyła ci swoją biżuterię – stwierdziła dobitnie, bawiąc się patrycjuszowskim naszyjnikiem, jakby chcąc wytrącić ogierowi od razu jakiekolwiek argumenty. – Bardzo sprytne, jak na ciebie. Nie przewidziałeś jedynie, że szitefka nie opuści miasta odpowiednio szybko.

– Nie wierzę w to... – zaczął Dash, ale umilkł pod wpływem spojrzenia Pełniącego Obowiązki.

– Ona ciągle tu jest, sam zobacz. – Sliver wskazał kopytem na specjalne manehattańskie lustro, ukazujące główną izbę gospody. Złodzieje mogli za jego sprawą swobodnie do niej zaglądać, niczym przez okno, ale dla przebywających po drugiej stronie wyglądało ono na najzwyczajniejsze zwierciadło.

Dash podreptał do tafli, spojrzął na nią... i zamarł. Ujrzał popijającą z kufła wiedźmę, tę samą, którą wczoraj okradł... z zawieszonym na szyi tym samym medalionem.

– To niemożliwe, ona nie mogła odnaleźć mojego schowka... – wymamrotał, zanim zdążył ugryźć się w język.

---

<sup>14</sup> Udawać głupiego (slang).

– Zatem, jak mówiłam, próbowałeś nas oszukać! – wesoło rzuciła Velour, natychmiast wykorzystując to potknięcie. – Złamałeś nasz kodeks, wiesz chyba, jaka czeka cię za to kara, mmm?

Zgromadzeni złodzieje poczęli szeptać między sobą. Pegaz nie słyszał wyraźnie wymienianych pospiesznie słów, ale po tonie zgadywał, że nie były mu przychylnie. Nie mógł spodziewać się niczego innego... a świadomość ta na nowo podsycała jego gniew, pchając kopyto do jeszcze jednego uderzenia w posadzkę.

– Medalion jest w mojej skrytce, jestem pewien! To musi być jakaś jej sztuczka! – zawołał, nie precyzując, czy ma na myśli wiedźmę, czy może rywalkę. – Przyniosę go i...

– Daruj sobie, Dash! – Blue weszła mu w słowo. – To koniec, rozu...

– Nie! – Ogier nie pozostał jej dłużny. – Znam kodeks, mogę dowieść, że te zarzuty są kompletnie od czapy! Nie byłibycie tacy chętni do skazywania, gdyby nie chodziło o mnie i moje związki z Las Pegasus! – Dla podkreślenia wagi swoich słów, uniósł kopyto w oskarżycielskim geście i wycelował je prosto w Slivera.

Na ułamek sekundy zapadła cisza, która przerodziła się w jeszcze potężniejszą falę szeptów. Pełniący Obowiązki zacisnął usta tak mocno, że utworzyły cieniutką linię, a po chwili westchnął ciężko.

– Masz rację. Jeśli możesz dowieść, żeś niewinny, zrób to...

– Co?! – warknęła ostro Velour, zaskoczona takim obrotem sprawy. Jej reakcja zdumiała Dasha, sugerowała bowiem, że klacz nie ma wcale pewności, co takiego rywal zastanie w swoim schowku.

Czyżby nie była jednak odpowiedzialna za całą tę aferę? A może jedynie tak doskonale potrafiła odgrywać swoją rolę?

Sliver spojrzął na nią surowo i odchrząknął.

– Jako Pełniący Obowiązki Mistrza udam się z tobą, by zweryfikować twoją historię – kontynuował. – A jeśli spróbujesz czegoś głupiego... – zawiesił niebezpiecznie głos i rozświetlił róg. – Lepiej, żebyś nie próbował.

Niedoszły przywódca gildii przełknął głośno ślinę i skinął głową. Następnie bez zbędnej zwłoki i ceregieli razem z drugim ogierem opuścił gospodę, odprowadzany przez zimny wzrok Blue. Przez całą pokonywaną w ciszy drogę rozmyślał, czy rzeczywiście w skrytce będzie na niego czekać jego trofeum... czy sam stanie się takowym dla rywalki. Serce w piersi biło mu jak oszalałe. Napięcie sięgało zenitu; gdyby nie był z nim tak zaznajomiony, mogłoby się chyba okazać śmiertelne.

Ponura procesja dotarła w końcu do skrytki, jaką okazała się być niewielka piwniczka, ukryta za fałszywą ścianką opuszczonego domu. Dasha nie cieszył fakt, iż musi ją ujawnić, ale nie miał przecież w tej kwestii żadnego wyboru. W środku czekała na niego ciężka skrzynia i parę pochodzących z różnych kradzieży mniejszych lub większych drobiazgów.

– Jest tutaj – powiedział cicho, zbliżając się do kufra. Zręcznie otworzył zamek, dezaktywując przy okazji dwie uzbrojone (i śmiertelne) pułapki, po czym położył kopyta na wieku.

Wziął głęboki oddech. Nadchodziła chwila prawdy.

Medalion spoczywał bezpiecznie w tym samym miejscu, w którym pozostawił go parę godzin temu. Choć pegaz nie rozumiał, co właściwie się w takim razie stało, z jego serca i tak spadł ogromny ciężar. Dzierżąc triumfalnie łup, odwrócił się, by pokazać go Sliverowi.

– Widzisz, mówiłem, że go mam! – obwieścił.

Pełniący Obowiązki, choć wydawał się równie zdezorientowany (i chyba rozczarowany), pokiwał powoli głową. Otworzył usta, ale głos zabrał kto inny. Ktoś, kogo widok na nowo zmroził pegazowi krew w żyłach. Ktoś, kogo oblicze i szyję szpeciła długa, całkiem świeża rana. Ktoś, kto dzierżył obnażony miecz.

Wiedźma.

– Doskonale, świerzbikopytku, doskonale! To teraz go sobie zabiorę, nie masz chyba nic przeciwko? A ty – wskazała orężem na jednorozca – spływaj. Mam do pogadania z twoim koleżką.

Sliverowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy i bez słowa czmychnął, zostawiając kamrata sam na sam z mutantką. Dash, działając instynktownie, chwycił zawieszony nieopodal siebie rapier, pamiątkę po jednym ze swoich lepszych skoków i wycelował nim w klacz.

Dopiero w tej chwili zwrócił uwagę, że wciąż miała na sobie medalion, identyczny jak ten, który teraz sam przyciskał skrzydłem do piersi.

– Jak mnie znalazłaś? – spytał drżącym głosem.

– Złapałam twój zapach, koteczku. – Łowczyni zaśmiała się bez śladów wesołości. – Ma się ten węch. I informatorów. – Zmrużyła oczy. – Tym razem nie ma tu żadnego pieszczołka, który pozwoli ci uciec.

Pomimo usilnych starań, Dash nie był w stanie stłumić drżenia kończyn. Rapier niemal wyslizgnął mu się z uchwytu. Wiedział, że znalazł się w pułapce jak szczur.

– Do-dogadajmy się! – wydukał. – Przecież... przecież masz jakiś inny wisiołek, po co ci jeszcze jeden?

Wiedźma, nie spuszczając ogiera z oczu, pogładziła skrzydłem swój naszyjnik.

– Siostry *czasami* się jednak przydają – powiedziała cierpko. – Ale chcę *mój* medalion. Nie rób sobie kłopotu, teraz to sama go sobie wezmę... – wycedziła.

Ogier mimowolnie cofnął się o krok, niemal potykając się o stojący za nim kufer. Groźba nie pozostawiała zbyt wielu możliwości interpretacji. Panika coraz mocniej brała go w swoje objęcia. Nie widząc już dla siebie żadnej innej drogi, rzucił łowczyni skradzioną jej własność.

– Zabierz go! Przepraszam! Zabierz go i mnie zostaw! – zawołał. – Wy-wy-wy przecież też macie swój kodeks, tak? Zabijacie tylko potwory i w sa-samoobronie, prawda? – spytał jeszcze, opuszczając broń w nadziei, że mutantka uczyni to samo.

Nie był to do końca szczerzy gest; wciąż trzymał rapier w taki sposób, by zadać szybki cios, gdyby przeciwniczka wykonała jakiś niebezpieczny ruch... lub wystawiła się na atak.

Klacz wyglądała, jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu jej pyszczek wykrzywił się w kwaśnym grymasie. Ostrze miecza skierowała ku podłodze.

– Tak... – przyznała niechętnie – niestety masz rację. Zabijamy tylko potwory i w samoobronie. Masz więc chyba szczęśliwy dzień, rorożku.

Ogier odetchnął z ulgą, ale wciąż pozostawał czujny i nie odrywał wzroku od wiedźmy, która podniosła swój medalion i zaczęła obracać się ku wyjściu. Chciał coś powiedzieć, ale słowa opuściły go w chwili, gdy poczuł dziwne ukłucie w klatce piersiowej.

Cios, który mu ją przebił, był najszybszym, jakiego nigdy nie zobaczył.

– Ale jakimż potworem trzeba być, by rozdzielać rodzinę... – szepnęła mu łowczyni prosto do ucha, przekręcając nieco miecz.

Dash zakasłał krwią, jego ciało zaczynało już rozumieć, co właściwie się stało. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ale nie upadł; ostrze przyszpiliło go do ściany.

– Pozdrów ode mnie moje siostry, potworku... – kontynuowała wiedźma. – I powiedz im... powiedz, że jeszcze nie pora na spotkanie, że Dalia nie planuje ich w najbliższym czasie odwiedzać. Nie planuje, jasne?! – powtórzyła, dziwnie silnie akcentując te słowa.

Pegaz nie odpowiedział; nie miał siły nawet splunąć na swoją zabójczynię, na to, by przekląć ją ostatnim oddechem. Ogarniał go chłód, a świadomość odpływała razem z lejącą się na posadzkę krwią. Jej strumień poszerzył się, gdy wiedźma w końcu wyciągnęła miecz ze złocistej piersi, pozwalając ciału ogiera runąć na posadzkę.

– Wezmę sobie też to. – Dash zdołał jeszcze usłyszeć; choć głos klaczy zdawał się dochodzić spod wody. Dostrzegł, że mówiła o wyciągniętej z kufra sakiewce. – Sam rozumiesz, nie zapłacę mi za głazodyła, na którego nikt nie wystawił zlecenia. No, to powodzenia, tygrysku! – rzuciła jeszcze na odchodne, pozostawiając go samego z dogorywaniem.

Złodziejaszek ostatnim wysiłkiem woli uśmiechnął się pokrętnie.

– Raz... matka... rodziła... – wykrztusił szeptem niemal niesłyszalnym dla siebie samego. – I... raz... się... zdycha...

Zamknął oczy, pozwalając, by otuliła go ciemność.

\*\*\*

Dash nie miał szczególnego doświadczenia w umieraniu, ale nie sądził, by kocie miauczenie należało do jego elementów. Podniósł powieki; wciąż znajdował się w piwniczce, leżąc obok rapiera w kałuży własnej krwi, ale jednocześnie... spoglądał na swoje ciało nieco z góry. I nie był już sam.

Na granicy szkarłatnej plamy przycupnął pręgowany kocur o złoto-srebrnych oczach, w którym pegaz rozpoznał swojego mimowolnego pomocnika.

– Przyszedłeś po obiecaną rybkę? – spytał głupio ogier. – Wybacz, kolego, nie dam rady dotrzymać tej obietnicy...

– Koleżanko – poprawił go dachowiec. – Jestem damą.

Złodziej przejechał skrzydłem po grzywie, wyraźnie zafrasowany. Po śmierci trafił najwyraźniej do niezwykle dziwnego miejsca... lub jego umierający umysł postanowił stawiać przed nim dziwaczne halucynacje.

– Eee... przepraszam?

– Cóż. Nie szkodzi – odparła nonszalancko kotka, liżąc przednią łapkę. – Jeśli się nad tym głowisz, to tak, umarłeś, tyle że jeszcze nie do końca. Osobiście uważam, że straszliwie szkoda by było, gdybyś odszedł od stolika tak wcześnie. To, jak mną wtedy rzuciłeś... zaskakująca, zwyczajna zagrywka zawodniackiego zawodnika! – pochwaliła i zachichotała. – Aliteracja.

Ogier zastrzygł uszami. To wszystko mogło być halucynacją, ale jeśli nie... to chyba otwierała się przed nim szansa na wywinięcie się śmierci.

– Możesz mi pomóc do niego wrócić, eeee, panienko?

Oczy kotki zamigotały.

– Proszę, mów mi Fortuna – ukłoniła się, co w jej przypadku wyglądało nieco komicznie. – I tak, mogę... ale niestety nie jestem w stanie uczynić tego bez... cóż, pewnych efektów ubocznych. Tak to już jest z Chaosem, coś zabierze, coś poprzestawia... zazwyczaj klepki. – Uśmiechnęła się rozbrajająco. – Zastanów się dobrze, czy chcesz wejść do gry – dodała, by następnie machnąć łapką.

W tej samej chwili przed Dashem zmaterializował się... kapelusz.

Bardzo gustowny kapelusz.